Nr. 3 We Lwowie, 1 lutego 1929 Rok 51



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

SEWERYN KROGULSKI

Pół wieku!

(Ciąg dalszy)

Następnie ten sam referent składa sprawozdanie o stanie funduszów Towarzystwa. Omówiwszy żywotną kwestję tę gruntownie, dowiódł niezbicie, że wobec ciągłego spadku naszej waluty a wzrastającej drożyzny, dotychczasowe wkładki członków nie wystarczą na pokrycie preliminowanych wydatków; z tej więc racji domaga się od Walnego zebrania uchwały, upoważniającej Wydział do ustalenia wysokości wkładek w 1923 roku w miarę rzeczywistego zapotrzebowania.

Po uchwaleniu tej rezolucji dr. Sander oznajmia, że delegat H. Prek, przewidując snadź dalszą dewaluację marki polskiej, ofiarował świeżo na zasilenie funduszu Towarzystwa 50.000 Mp.

Mówca upatrując w tym hojnym geście zachętę do dalszej subskrybcji, prosi o przerwanie na chwilę obrad celem uskutecznienia jej zaraz wśród uczestników Zjazdu.

Najwymowniejszy dowód mocnego ukochania naszej instytucji przez jej członków i dbałości tychże o utrwalenie jej bytu stanowi imponujący wynik rzeczonej subskrypcji, wyrażający się cyfrą 662.000 Mp.

Aby piękny czyn ten upamiętnić, godzi się wymienić tu hojnych ofiarodowców:

Po 50.000 Mp. złożyli: inicjator tej akcji H. Prek, dalej J. A. hr. Bielski, Stefan hr. Badeni i Tadeusz Czarkowski-Golejewski.

Adam Kapliński Mp. 40.000.

Po 30.000 Mp.: Włodzimierz Barański (junior), Eustachy Rylski i Stanisław Prek. Po 25.000 Mp.: Władysław Barański, Józef Jabłonowski i Franciszek br. Heydel. Po Mp. 20.000: Dr. Tytus Vrabetz i Cyryl Czarkowski-Golejewski. Po Mp. 15.000: Kazimierz Marmaross, Zdzisław Marmaross, Stanisław hr. Mycielski i Tomisław Jędrzejowicz. Po Mp. 10.000: Władysław Garapich, Dr. Aleksander Ruczka, Edmund Kappy, Dr. Edward Zieliński, Zygmunt Łączyński i Andrzej Jakubowicz. Po Mp. 5.000: Zygmunt Streer, Stanisław Orski, Albert Mniszek, Edward Münter, Stanisław Burzyński, Adam Ebenberger, Stanisław Pieńczykowski, Aleksander Ulm, Zbigniew Orzechowski, Edward Rudziński, Dr. Alfred Sander, Stanisław Jaśkiewicz, Ksawery Struc, Ludwik hr. Mycielski, Tadeusz Sośnicki, Aleksander hr. Zaleski i Dr. Witold Ziembicki. Mp. 3.000 Władysław Wesołowski. Po Mp. 2.000: Bożydar Stachowski, Karol Wolenowski, Towarzystwo racjonalnego polowania w Brzezinach i Dr. Stanisław Łoboś. Jakób Frey 1.000 Mp.

Celem zdobycia dalszych funduszów na potrzeby To-

warzystwa uchwalono rezolucję wpr. A. Mniszka, aby również i delegaci nasi dokonali zbiórki datków dobrowolnych wśród członków M. T. Ł. we wszyskich powiatach.

Wobec wyłonienia się siłą faktu nowych warunków łowiectwa w całem Państwie Polskiem, dążących do zespolenia się w pracy na tem polu, Dr. A. Sander przedkłada projekt zmiany dotychczasowego statutu M. T. Ł.

Walne zebranie wysłuchawszy wygłoszonych przez referenta uzasadnień potrzeby zmiany wielu przepisów ważniejszych i ustanowienia nowych, uchwaliło projekt ten przedłożyć Min. Rol. do zatwierdzenia.

Wiceprezes Cyryl Czarkowski-Golejewski referuje nowy regulamin dla delegatów Towarzystwa. W obszernem przemówieniu wyłuszczywszy powody, które skłoniły Wydział do wprowadzenia przepisów zastosowanych do zmienionych przez Rząd polski stosunków łowieckich, żąda od delegatów śpiesznego zorganizowania się i podjęcia pracy ściśle wedle przepisów nowego regulaminu.

Po przeprowadzeniu wyborów uzupełniających wskutek zrezygnowania z godności członków Wydziału Juljusza hr. Tarnowskiego i prof. Rudolfa Wacka, tudzież z powodu wylosowania dwu członków i dwu zastępców— w skład Wydziału na r. 1922 i 23 — bez zmiany prezydjum — weszli w charakterze członków: Wł. Garapich, Tomisław Jędrzejowicz, Dr. Jan Kalm-Podoski, Edm. Kamieniobrodzki, St. Kumor, Dr. A. Małaczyński, E. Münter, St. Orski, St. Pieńczykowski, H. Prek, Dr. A. Sander i Z. Streer, a jako zastępcy: Stefan hr. Badeni, J. Cwierzewicz, A. Ebenberger, Walery Marjański, Ludwik hr. Mycielski i Stefan Reichard.

Członek Towarzystwa Al. Ulm, podniósłszy wytrwałą i owocną pracę Zarządu Towarzystwa, wniósł na wyrażenie Prezydjum i całemu Wydziałowi gorącego podziękowania.

Wniosek ten Walne Zgromadzenie przyjęło oklaskami. Prezes dziękując imieniem Wydziału za ten objaw wdzięczności, podniósł specjalne zasługi w tej pracy Dr. Sandera, „który pełniąc od szeregu miesięcy funkcje sekretarza Wydziału, każdą swą wolną chwilę oddawał Towarzystwu".

Dr. Sander za wyrażone mu ze strony prezesa uznanie, poparte poklaskiem Walnego Zebrania, pięknie podziękował, poczetując je sobie za najwyższą nagrodę i przyrzekł nadal poruczone mu czynności spełniać z całą gorliwością.

Zawody strzeleckie.

Popisowe strzelanie rozpoczęło się dnia 24 czerwca o godzinie 10 rano. Wśród licznie zgromadzonych widzów są też i przedstawiciele władz wojskowych i politycznych, mianowicie: wojewoda Grabowski i Jurystowski, jenerałowie St. Haller, Jędrzejewski i Pajewski.

Pierwsze nagrody zdobyli:

w strzelaniu z pistoletów — Adam Kapliński;
„ „ do tarcz stałych na sto kroków — Józef Jabłonowski;
w strzelaniu na 300 kroków przez lunetę — Eugen. Fleszar;
„ „ do ruchomego dzika — Edward Rudziński;
„ „ do dwu dzików w dublecie — Adam Kapliński;
„ „ do lisa w biegu — Edward Rudziński;
„ „ do rzutków— Andrzej Jakubowicz.

„Nagrodę kniei" — dar A. Kaplińskiego — zdobywa Edward Rudziński.

W strzelaniu o mistrzostwo, nagrodę ofiarowaną przez M. Jaroszyńskiego — zegar z bronzu, wspaniały antyk — wygrywa Józef Jabłonowski i obejmuje ją czasowo w posiadanie, aż do przyszłego Zjazdu.

Nagrody „Pierwszego Mistrza", ufundowanej przez Stefana Reichardsperg Reicharda — róg myśliwski z kości słoniowej — nikt nie otrzymał, gdyż żaden z strzelających nie uzyskał kwalifikacji, statutem fundatora wymaganej.

*

Wystawa Łowiecka.

Chlubnem świadectwem energicznej działalności ówczesnego Wydziału było doprowadzenie do skutku urządzenia Wystawy łowieckiej, która odbyła się we Lwowie w salach Związku Artystów polskich przy ul. Wronowskich l. 4, podczas uroczystości XXI Zjazdu łowieckiego i Walnego Zebrania członków.

Otworzył ją prezes M. T. Ł., J. A. hr. Bielski dnia 23 czerwca 1922 r. o godzinie 10,30 rano w obecności licznych przedstawicieli władz, prasy, falangi myśliwych i zwolenników myślistwa.

Prezes w swem przemówieniu zaznaczywszy, że „łowiectwo nowoczesne uważane być musi za ważną gałąź gospodarstwa krajowego, oraz za czynnik chroniący rodzimą przyrodę, a jako takie powinno się cieszyć opieką i poważaniem władz i całego społeczeństwa", przeciął kordelasem jedliniową wstęgę u wejścia do łowieckiej skarbnicy i ogłosił Wystawę za otwartą.

Cel zamierzony urządzeniem tej Wystawy osiągnięty został w zupełności; albowiem:

Obznajomiono tym wyczynem szerszy ogół inteligentny, że łowiectwo nasze, dzięki energicznej działalności Wydziału Towarzystwa, odradza się dość pomyślnie; dano sposobność wglądnięcia w obecną kulturę łowiecką i porównać ją z przedwojenną; umożliwiono wreszcie zrzeszyć i zbliżyć między sobą Brać myśliwską, przez kilka dni pod sztandarem M. T. Ł. i zespolić ją w pracy przy odbudowie z gruzów wojny myśliwskiego ukochania.

Obesłano tę Wystawę obficie i trofeami, godnemi okazania, wśród których przedewszystkiem podziwiano z zachwytem rekordowe eksponaty nasze, uwieńczone sławą na Międzynarodowej wystawie łowieckiej w Wiedniu 1910 roku.

Te wszakże jako też i rzadkie egzemplarze przez Muzeum przyrodnicze im. Dzieduszyckich dostarczone, wystawiono tu „hors concurs", jedynie gwoli porówna-

nia z trofeami zdobytemi w czasie od r. 1910, jak to z założenia rzeczy wynikało.

Naogół, z tych ostatnich — z okresu lat 12-tu — wystawiono: 51 wieńców jelenich, 187 par rożków sarnich, 18 łbów i 48 par kłów dziczych, jednego odyńca srokatego; dalej rysie, kudły niedźwiedzie i skóry wilcze, wielką ilość egzemplarzy łownego i drapieżnego ptactwa, potężne czaszki łbów niedźwiedzich, dziczych i wilczych, wreszcie nieco rzadkości rozmaitego rodzaju fauny i awifauny, a poza tem dużo okazałych zrzutów jelenich rogów i rożków sarnich.

Wszystko to razem wziąwszy — złożyło się na obraz prawdziwie imponujący.

Na rzetelną więc wdzięczność zasłużyli twórcy tego poważnego dzieła, choćby tylko za to, że potrafili z zazdrosnych rąk myśliwych naszych, tyle cennych wydobyć pamiątek — świadków górnych ich przeżyć, — aby niemi szerszy ogół przekonać naocznie, w czem tkwi piękno, urok i siła przyciągająca łowów!

Ze względu, że wystawiona w salach Z. A. P. cząstka trofeów, pochodząca z b. galerji naszej w stolicy naddunajskiej, ocenioną została już w tej pracy na właściwem miejscu, a muzealne „dziwa“ znane są powszechnie, reszta zaś eksponatów opisaną została w „Łowcu“, Nr. 7, 8 i 9 z r. 1922 p. t. Szkice z Wystawy łowieckiej, w ciasnych więc ramach tej karty ograniczymy się do zapisania jedynie orzeczenia jury.

I tak: I list pochwalny otrzymał wieniec jelenia 16-ka, ubitego przez Berwida w Wełdzirzu; II list pochwalny za wieniec 16-ka prof. Dr. Sołowij.

Inne, potężne poroża jelenie, zdobyte przez gen. T. Rozwadowskiego, T. Jędrzejowicza, Wł. Barańskiego, R. Ćwierzewicza i C. Czarkowskiego-Golejewskiego — zasłużyły na zaszczytną wzmiankę.

Za rożki sarnie przyznano nagrodę I list pochwalny Konradowi Małaczyńskiemu, II list pochwalny otrzymał Włodzimierz Barański (junior), zaszczytną zaś wzmiankę za 10 par kapitalnych rożków — na tablicy — H. Prek.

Za kły (szable) dzicze I list pochwalny otrzymał Czarkowski-Golejewski, a II list pochw. Towarzystwo lisowickie.

Za pięknie spreparowany łeb odyńca przyznano nagrodę — list pochwalny — Stanisławowi Jaśkiewiczowi.

C. d. n.



JAN MARCINKÓW

Rykowisko jelenie w Karpatach

Niezrównany nasz piewca królewskich łowów i czarów puszczy karpackiej, pisze w swym artykule „z Karpat“, w Nr. 20 Łowca z 16 października 1928, na stronie 315. „Cześć Karpatom! Zdobne dzisiaj szczodrze czarownemi barwami jesieni, szumią one hymnem na chwałę naszego łowiectwa!

„Z nich wpływa w dusze nasze potężny zew przyrody, instynkt myśliwski, tętni nim serce, pracuje mózg pod urokiem królewskich łowów i mocarnych wrażeń. W rewirach karpackich łowiectwo polskie stroi swe skronie rok rocznie nowemi liśćmi wawrzynu.

„Cześć św. Hubertowi po wszystkie wieki! Cześć małopolskim myśliwym, co swą pracą potrafili przez lat dziesięć zwalczać wszystkie trudności, jak rozwielmożnione wojną kłusownictwo i plagę wilczą i wstrzemięźliwością dyktowaną im przez wysoką etykę łowiecką stworzyli dzisiejszy chlubny poziom karpackiego zwierzostanu.

„Cieszy się z tego stary „Łowiec“, cieszy się stary kronikarz małopolskiego łowiectwa, że swem „nieudolnem piórem”, opiewać może zmartwychwstającą chwałę polskich Karpat.”

Trzeba być myśliwym, trzeba się zżyć z Karpatami, poznać urok i czar tych rzeczywiście królewskich łowów, jakiemi są łowy na jelenie, aby zrozumieć w tych nie wielu, a tak jędrnie wypowiedzianych słowach, uczucia i poglądy niezrównanego w piórze autora artykułu „Z Karpat”. Cześć też i Jemu w pierwszej mierze, z życzeniem, oby On, stary kronikarz małopolskiego łowiectwa” ze swem w y s o c e u d o l n e m piórem i młodzieńczą werwą ducha w jak najdłuższe lata mógł opiewać chwałę naszego łowiectwa.

I jeśli nasz kronikarz zbiera, skąd może tylko, wiadomości z tych królewskich łowów, aby przysporzyć chwały i chluby łowiectwu polskiemu, a ogół i ci, którzy mieli to szczęście nasycać się tym czarem, milczą, jakby się wstydzili tego co na łowach lub wogóle pod względem myśliwskim w Karpatach popełnili, czy zdziałali. Jest to rzeczywiście dziwny objaw; nieposądzamy ich o „nieudolność pióra” — czy brak zmysłu literackiego, bo są to wysoce inteligentni panowie, tylko kompletny brak chęci i pewnego rodzaju poczucia. Nie rozchodzi się tu może o własną pochwałę, ale raczej o wynurzenie swych przeżyć i poglądów, wrażeń, sposobów i systemów, czy to pod względem dźwignięcia poziomu łowiectwa, czy też niszczenia drapieżników i wrogów karpackiego łowiectwa, co stanowiłoby swego rodzaju niejako studjum i byłoby bodźcem dla młodszych adeptów myślistwa — niestety, u nas to p o m i j a s i ę m i l c z e n i e m, a nasz „Łowiec“ — pod tym względem ś w i e c i p u s t k a m i.

Jak wyglądają pod tym względem zagraniczne czasopisma, choćby wziąć „Wild und Hund” — „Waid-

werk", „Waidmannsheil" i wiele innych. Niestety narazie niema na to lekarstwa, chybaby może przypadkowo przemówiła jakaś ambicja do serc tych słynnych nemrodów.

Ja, jako stosunkowo jeszcze młody adept łowiectwa, bo rozpocząłem służbę lasową a zarazem łowiecką, dopiero w roku 1874 i to ciągle do dnia dzisiejszego w głębi Karpat, mam za sobą spory zasób praktyki łowieckiej, w szczególności jeleniej.

Znam więc historję jelenią w Karpatach od r. 1874, to niby tak około niepełnych 55 lat, czyli zwyż pół wieku, co jest właściwie wobec wieczności nicością.

W pierwszem dziesięcioleciu t. j. gdzieś od 1874 r. do r. 1884, jeleń w Karpatach był rzadkością, a o polowaniu na jelenie, mało komu się śniło. Dopiero w latach 1880-tych, kiedy rozpoczęła się w Karpatach eksploatacja drzewna, zaczęły jelenie zwolna napływać, o ile zdaje się, od strony węgierskiej, gdzie wcześniej siekiera rozpoczęła swą pracę w lasach południowych Karpat.

W miarę odsłaniania powierzchni dziewiczych lasów i tworzenia zrębów, które porastały w szybkiem tempie ożynami, malinami i najróżnorodniejszemi trawami i chwastami, tworząc wspaniałe żerowisko dla zwierzyny, zaczęły jelenie dalej przybywać i mnożyć się w szybkiej progresji, tak, że w latach 1890-tych, stan jeleni był już pokaźny.

W tym wypadku traktuję tu głównie karpackie rewiry powiatu dolińskiego, rządowych dóbr Mizuń, Sołotwina mizuńska, Polanica i sąsiednie rewiry prywatnych dóbr Wełdzirz, a poniekąd część Skolego, które to rewiry graniczą z Mizuniem.

Po pewnej przerwie w dobrach rządowych w powiecie dobromilskim i drohobyckim, wróciłem z powrotem do dóbr rządowych do Mizunia w r. 1892, względnie do Sołotwiny Mizuńskiej, później Nowy Mizuń, gdzie przebywałem do roku 1922.

W roku 1894, kiedy różni austrjaccy „Ministerialraty" z Wiednia, przy lustracji lasów przekonali się o wspaniałym stanie jeleni w rewirach Mizuńskich, donieśli o tem członkom panującego domu Habsburskiego we Wiedniu.

Wskutek tego zaraz w przyszłym roku zagościł do Mizunia arcyksiążę Leopold Salvator w towarzystwie barona Giesla von Gislingen wówczas pułkownika, później generała kawalerji i komendanta praskiego korpusu.

Rezultat pierwszego swego występu, był nie wielki, ale wspaniały; w Sołotwinie mizuńskiej pod „Czarną Syhłą" — już dość późno po głównem rykowisku, bo 9 października ubił arcyksiążę kapitalnego 12-ka, 135 cm długość rogów, rozpięcie 130 cm, gałęzie oczne 55 cm. długości, waga 12 kg. To były najwspanialsze rogi, jakie arcyksiążę Leopold Salvator w przeciągu 25 letniego dzierżawienia polowania w Mizuniu, zdobył.

Od tego czasu dzierżawił arcyksiążę to polowanie od kamery i przyjeżdżał rok rocznie, do roku 1913, poczem nastąpiła wojna, i ostatnim razem był, jakby na pożegnaniu w r. 1918; — mówił mi wtedy, że najprzyjemniejsze i najszczęśliwsze chwile jego życia, są i pozostaną, chwile spędzone na rykowiskach w Karpatach; świta zaś jego, która składała się z 6—8 panów, jak: szwagier jego, książę August Coburg, Herzog von Kalaryen, generałowie baron Giesl von Gislingen, Fml.

WŁADYSŁAW GÜRTLER

Ostatnie łowy Batorego

Śmierć króla

(Fragment)

VI.

Stefan Batory był wielkim człowiekiem i wielkim królem.

Dzisiaj w perspektywie wieków widzimy, że królewskość jego, na miarę Fidjasza skrojonej postaci, odbija się w każdym czynie, w każdym niemal kroku, jaśnieje słonecznym blaskiem i skrzyć się będzie w dziejach przedziwnym żarem na wieki. Aczkolwiek rządy jego trwały bardzo krótko, to jednak w okresie lat dziesięciu zdołał utrwalić swą różnorodną działalność takiemi wiekopomnemi czynami i tyle pozostawić po sobie pamiątek, że licząc je i podziwiając, możemy sobie dzisiaj w przybliżeniu odtworzyć należyty wizerunek jego przebogatej indywidualności.

Widzimy w nich jedno i to samo piętno wyciśnięte na wszystkich jego pracach i czynach, widzimy wszędzie ten rozmach królewski, tę wyrazistość plastyczną, tę męską jędrność i tę żelazną wolę w dążeniu do celu; wszędzie i zawsze przebija się w nim duch rycerski, wojskowa karność, duma królewska i bohaterskie wytrwanie.

Jako człowiek, celował charakterem nieskazitelnym i zawsze konsekwentnym, jako król odznaczał się stanowczością i niezwykłą przy tem w owe czasy szlachetnością i wyrozumiałością dla ludzkich ułomności i błędów.

Majestat swój królewski cenił nadewszystko i nietylko władzę, ale i wystąpienie swoje pod względem zewnętrznym otaczać umiał najświetniejszym zawsze splendorem.

Żaden z naszych władców nie zdołał tak wysoko postawić godności monarchy, jak Batory.

Był także niesłychanie pracowity. Zdawałoby się, że w tych kilku latach swoich rządów chciał odrobić zaniedbania wszystkich poprzedników, a może i następców swoich, że zamierzył sam wykonać prace całych pokoleń, całych stuleci!

Trzebaby tu powtórzyć długie dzieje sejmów*), odprawionych pod jego przewodnictwem, przytoczyć niezliczoną ilość rozporządzeń i dekretów, odnoszących się

*) Patrz: Adolf Pawiński: „Źródła dziejowe" Tom XI. (Akta metryki koronnej, co ważniejsze z czasów Stefana Batorego).

von Eisler, baron Nadherny, dr. Cerwicek i Markiz Rispaldica, mawiali, że rykowiska w Mizuniu, to ich karnawał.

W udziale mi padło z urzędu, że przez cały szereg tych lat byłem kierownikiem polowań arcyksięcia, mając sposobność — pomijając to, że mieszkałem prawie w sednie gniazd jelenich, gdzie stan wynosił tysiące sztuk, a ryczących jeleni setki — obserwować życie jelenia przez cały rok, wiosną, latem i zimą, a przed rykowiskiem około 4 tygodnie, zaś w czasie rykowiska 3 a nawet 4 tygodnie od nocy do nocy przebywając w lesie, nauczyłem się obserwować i badać życie jelenia. W przeciągu tego czasu padło ogółem około 250 jeleni.

Roczny odstrzał był rozmaity: 15, 16, 17, 18, 19, 20, 22, 23 a w roku 1904 nawet 27 sztuk, to był najwyższy rekord. Ale było też i kilka lat gorszych, gdzie tylko kilka jeleni padło, a w roku 1908 kiedy to była strasznie śnieżna zima, kiedy setki jeleni wyginęło z głodu, nie mogąc wydrapać z pod 3—4 metrowej warstwy śniegu żeru, zwłaszcza ożyn, które przez zimę są zielone i stanowią główne pożywienie, padł tylko jeden jeleń i to słaby 10-ak.

W latach po 1900, był tak wielki stan jeleni, że przy byku w czasie rykowiska można było często spotkać 15, 18 a nawet jednego roku widziałem 25 łań. Wskutek tego musiano zaaplikować odstrzał łań, pierwszym razem 40, potem 20 i t. d. Tej ilości, wskutek strasznie ciężkich górzystych terenów nie można było odstrzelić, ale natomiast przychodziły z pomocą wilki, które wówczas ogromnemi stadami włóczyły się, a personal wskutek bardzo intensywnej manipulacji drzewnej nie był w stanie podołać z odstrzałem.

Ale jak przysłowie mówi „że pan Bóg nie pozwolił drzewom rosnąć aż do nieba" — tak też i w tym wypadku, przyroda sama reguluje przyrost i ubytek wszelkiej zwierzyny przez różne klęski elementarne, i tak było w 1907 na 1908 rok. Straszna zima prawie wszędzie zdecymowała zwierzostany.

W Karpatach można było częstokroć spotkać jelenie i łanie, na drogach, wychudłe jak szkielety, które dały się łapać, a nawet zaprowadzać do stajen lub stodół, ale chyba na to, aby następnego dnia lub za kilka dni zginąć.

C. d. n.

A. PRZEDRZYMIRSKI

Brak kultury łowieckiej

Jesteśmy w pełni słonczego, przypuśćmy, sezonu. — Cudowna pogoda sprzyja, knieje ubrane w szkarłat, zieleń i złoto, żarzą się w słońcu, jak gdyby na pożegnanie ciepła i pogody, przywdziały umyślnie królewską szatę, którą tak rychło zamienić trzeba będzie na puszystą śnieżną szubę.

Brać łowiecka z drobnym śrutem w lufach wypatruje z upragnieniem długodzióbego wędrowca, zachowując się obojętnie wobec innej zwierzyny, która z chwilą nalotu słonek, traci prawie całą atrakcyjną siłę.

Ten i ów z myśliwych, zbrojny w groźny trzylufek, żywi mordercze zamiary także i względem przypadko-

---

do wszystkich dziedzin naszego życia zbiorowego, aby wykazać, jak Batory pracował i jak pojmował swoje szczytne stanowisko w Rzeczypospolitej, którą już w jego czasach wezbrane fale gminowładztwa szlacheckiego unosiły, jak lekką barkę, po wzburzonych odmętach namiętności politycznych.

Sterowanie nią nie łatwem było zdaniem.

A przecież ten monarcha, który nie chciał być królem malowanym, dawał sobie ze wszystkiem radę...

Okiełznął szlachtę, ukrócił butę możnowładców, wprowadził ład do administracji, stworzył trybunały sądowe, podniósł oświatę, poskromił wrogów zewnętrznych, dybiących na naszą zgubę, sprowadził pokój w kraju i dał mu dobrobyt.

Umiał być również łaskawym, przystępnym dla każdego i łatwym w obcowaniu. Nic też dziwnego, że stał się wkrótce bożyszczem Narodu, jego radością, miłością i dumą i że byłby z niego uczynił powolne narzędzie do osiągnięcia wszystkich wielkich zamysłów swoich, gdyby nie śmierć okrutna, która go nam tak rychło, tak bezwzględnie, zabrała...

W odwiecznej polskiej puszczy na łowach stawał się popularnym, a nawet przyjacielskim. Nietylko szlachcic, choćby najuboższy, ale nawet chłopek — mógł wtedy ze swoim królem porozmawiać swobodnie, mógł się przed nim zwierzyć, użalić i poskarżyć, pewny, że jego pan wysłucha go uważnie, cierpliwie i że mu skutecznie pomoże.

Ileż to krzywd król naprawił, ile łez otarł, jak doskonale się informował o stanie administracji państwowej, o wyrokach sądów szlacheckich i stosunkach między stanami właśnie na łowach. A życiem swojem całem i postępowaniem jaki przykład godny i wzór do naśladowania dawał wszystkim poddanym.

Bo życie to było głęboko religijne, zawsze uczciwe i moralne. Nie popsuły go ani prądy epoki, ani przykłady osobiste.

Król ani „pompy nie lubił, ani krotochwil", jak pisze jego dziejopis, a tem mniej tolerował objawy rozwiązłości, jakie tu i ówdzie na dworach innych panujących dostrzegać się dawały. Dwór Batorego był zawsze cichy, skromny, wzorowy...

W wydanem w r. 1576 rozporządzeniu co do obyczajów służby i dworzan powiada przez usta marszałka: ...„iż dwór królewski jest i ma być zawżdy wzorem i zwierciadłem dobrych spraw i poczciwego życia w Rzeczypospolitej, bo z dworu właśnie każdy zwykł brać przykład przystojności swojej".

wego dzika, i wolno mu to, jako rozporządzającemu kulą. — Lecz niestety jakżeż często się zdarza, że łowiecko niedojrzały i niedostatecznie przygotowany myśliwy wita drobnym śrutem przemykające dziki, nie zdając sobie sprawy z barbarzyństwa, które popełnia, a nie zdaje sobie dlatego, bo jego kultura łowiecka równa się zeru a stosunki wśród których polował i skąd czerpał swoje wykształcenie łowieckie, nie mogły go nauczyć niczego lepszego.

Ten sam myśliwy usiłujący być zupełnie poprawnym i wykwintnym w towarzystwie, staje się bezwiednie barbarzyńcą w kniei, bo nie posiada najelementarniejszych zasad kultury łowieckiej, najmniejszego wyobrażenia a nawet podejrzenia, że istnieją obowiązki myśliwego wobec zwierzyny. Nie wie o tem wszystkiem, bo mu nikt o tem w życiu nie mówił, nikt tych pojęć w nim nie kształcił, nikt błędów nie wytykał. — Nikt nie zwrócił jego uwagi na konieczność przyzwoitego zachowywania się w kniei nietylko wobec współpolujących ale także i wobec zwierzyny łownej, którą wolno myśliwemu wprawdzie ubijać, jednakowoż w sposób jak najszybszy i jak najmniej dla niej bolesny.

Myśliwemu takiemu nie przyszło nigdy do głowy, że żywe stworzenie nie może być tarczą, na której wolno byłoby dokonywać ćwiczeń i doświadczeń strzeleckich, że istnieje etyka łowiecka i lojalność myśliwego wobec zwierzyny w imię których wszelkie ryzykowne dalekie strzały śrutem, a zwłaszcza śrutowe strzały do dzików, są zbrodnią a popełniający ją piętnuje sam siebie wielce niepochlebnem piętnem. Zwierzynie opatrzonej w racice a zwłaszcza jeleniowi i dzikowi należy się kula. — Szkoda, że nasze nowe prawo łowieckie pominęło ten szczegół i nie poszło za przykładem Bawarji, okładającej dotkliwemi grzywnami, przekraczających tę zasadę.

Takie strzelanie śrutem do dzików jest najzupełniej nieuzasadnionem, gdyż w najrzadszych tylko wypadkach kładzie się dzik po strzale śrutowym, natomiast uchodzi ciężko nieraz postrzelony, niejednokrotnie z powybijanemi oczyma, lub z naruszonemi organami wewnętrznemi, by paść gdzieś w ukryciu, po długich nieraz kilkunastudniowych męczarniach, bez żadnego pożytku i bez żadnego zadowolenia dla strzelającego. — W szczęśliwych wypadkach choruje taki dzik miesiącami, chudnie na szczapę i w takim stanie staje się łatwą, choć bezwartościową zdobyczą najczęściej niepowołanych i nieuprawnionych myśliwych.

Mamy ustawę o ochronie zwierząt, mamy towarzystwa zawiązane i działające w tym celu. — Jeżeli przeciążenie konia, lub złe obchodzenie się z nim podpadają ustawowej sankcji karnej, jest anomalją, że świadome i z góry przewidziane kaleczenie zwierzyny, uchodzi bezkarnie.

W Anglji obyczaj narodowy nie pozwala strzelać do lisa, który może ginąć tylko sforsowany przez psy. Dżentelman, któryby sobie pozwolił na zastrzelenie lisa, podpisuje na siebie wyrok wykreślający go z towarzystw myśliwych i klubów, do których należy.

Nie pragnę, ażeby u nas posuwano się aż tak daleko odnośnie do strzelającego śrutem do dzika i nie wzywam karnych hamulców na głowy takich przestępców, lecz pragnąłbym by stanęli na takim stopniu łowieckiej kultury, by mogli znaleźć sami hamulec w własnem

---

Panowała też w nim karność wojskowa i spartańska prostota: nią podbijał król najszersze warstwy społeczności szlacheckiej tak bardzo nawykłej do rygorystycznych form codziennego życia, że chciała je widzieć nawet w pobliżu tronu*).

Polując często w Białowieży na żubry i niedźwiedzie, lub w pobliżu Grodna na dziki, wybierał się tam zawsze z kilku tylko przyjaciółmi, bez taborów, bez zbędnych sprzętów, jak na wojnę... Dworska etykieta ustępowała wtedy i szła w zapomnienie, a nastawała swoboda towarzyska i wesoła atmosfera, w której król czuł się zawsze najlepiej.

*

Przyszedł fatalny grudzień r. 1586.

Batory przebywał w tym czasie z pocztem myśliwych w swojej ekonomji w Kudzyniu pod Sokółką. Doniesiono mu niebawem, że w pobliskiej kniei zalegają dziki.

Powziął więc, jak zwykle, szybką decyzję i postanowił na nie zapolować, naradziwszy się wprzódy z przyjaciółmi, jak urządzić łowy i które zająć mioty.

A czas był naonczas srogi. Kilkunastustopniowy mróz, wspomagany gwałtowną wichurą, groził śmiałkom. Nie odstraszył jednak króla i jego towarzyszy.

Piękną była knieja kudzyńska. Na płaszczyźnie nieco sfalowanej rosły rzędami, jak jabłonie w sadzie, wysokie jodły, grube dęby, i rozłożyste buki. Występujące tu i ówdzie zaokrąglone wzniesienia okalały zwartym wieńcem krzaki leszczyny i tarniny, spowite zielskiem i wysoką trawą.

W nieprzebytym gąszczu kryła się wszelaka zwierzyna, przedewszystkiem szczeciniasta, znajdująca w nim zaciszne schronienie i pokarm obfity w żołędziach i buczynie. Między wzgórzami ciągnęły się głębokie, urwiste, ciemne parowy, w których siedziały lisy i wilki, a niekiedy i rysie...

Falistość terenu i różnorodność zadrzewienia ogromnej puszczy składały się na nieporównany w swej krasie krajobraz, który pociągał ku sobie każdego myśliwego o każdej porze, a szczególniej w zimie. To też król nie mógł się oprzeć urokowi takiej kniei i ponętnej pokusie urządzenia w niej polowania. Zawsze i chętnie zaglądał do niej, skoro tylko znajdował się w pobliżu kochanego Grodna. Ciągnęło go ku sobie i samo miasto, tak malowniczo położone nad błękitną wstęgą Niemna.

Odbywał w niem narady, zjazdy, sejmy, sądy i zbrojne okazowania szlachty.

*) Patrz: Adolf Pawiński: „Stefan Batory, jako myśliwiec”. Źródła dziejowe, Tom XI.

sumieniu łowieckiem i w własnem poczuciu obowiązków względem żywego stworzenia.— Pragnąłbym, ażeby taki myśliwy przed naciśnięciem cyngla pomyślał, że lekkomyślnie rzuconym strzałem śrutowym, kaleczy nieraz ciężko szlachetnego zwierza, gotując mu nie dające się opisać męczarnie. — Pragnąłbym, aby mógł zobaczyć, tak jak ja, takiego zestrzelanego śrutem dzika, Bóg wie gdzie i przez kogo z powybijanemi oczyma, błądzącego bez celu po lesie i rozbijającego się o drzewa aż moja miłościwa kula położyła kres jego męczarniom. — Pragnąłbym, ażeby zobaczył drugiego, któremu bliski strzał grubym śrutem odciął po prostu koniec górnej szczęki i który w tym stanie naturalnie nic nie jedząc, wychudły na szczapę, z zaropiałym gwizdem, tułał się Bóg wie, jak długo po lasach, nosząc już za życia w swym łbie roje robactwa, aż został dostrzeżony i dobity przez gajowego. — Chciałbym ażeby zobaczył te liczne zające i rogacze z połamanemi skokami i cewkami dobijane kijami przez pogonkę, lub ginące gdzieś w ustroniu po wycierpieniu niewysłowionych męczarni.

Niech sobie uprzytomni tę sumę cierpień, które zadać może strzał lekkomyślny, a zapewne niejeden jego ładunek pozostanie w lufie.



X. LEON SAPIEHA

Na kresach lasów Ituri

Z gorącej doliny, nie wyżej jak 700 metrów nad poziom morza położonej, wspinaliśmy się w góry; coraz lżejsze, raźniejsze powietrze, coraz dalsze widoki przed nami. Po dwóch dniach marszu ze starego Beni, ścieżką karawan, która prowadzi do Lubero i w dalszym ciągu do Kivu doszliśmy do małej osady, na grzbiecie górskim położonej, zwanej wedle swego sultani'ego, Karibumba. Do dwóch lat ma już prowadzić tędy droga automobilowa, która otworzy wspaniałe kraje dla turystyki samochodowej, i to do niedawna dzikie ustronie Afryki wnet zamieni na boisko wycieczkowiczów.

Teraz jeszcze staroświeckie zwyczaje panują u sultani'ego Karibumby; przyszedł z czołobitnością wraz ze swym bratem Arondisą i większą częścią poddanych. Rozpoczęła się zwyczajna rozmowa o słoniach, o podarunkach i nagrodach, z tą jednak zmianą, że za poradą starego kolonisty, zamiast obiecywać władcy szczepu podarunki, zgóry je rozdzieliłem, zapewniając ponadto, po zabiciu słoni, datki pieniężne. I to mi odsłoniło ciekawy rys w charakterze murzynów, raczej dobrze świadczący o ich słowności i wdzięczności. Nietylko jak się w przyszłości przekonałem, murzyni starali mi się wywdzięczyć za już otrzymane prezenta, lecz nawet, ku memu największemu zdumieniu, po świetnym rezultacie polowania, przyszedł do mnie murzyn i oddając podarunek, oświadczył, że czyni to na rozkaz sultani'ego, ponieważ za mało był pomocnym przy polowaniu. Cie-

Chlubę miasta stanowi i dzisiaj piękny kościół farny, fundacji Batorego...

*

Na wieść o polowaniu w kniei kudzyńskiej zadrgały serca myśliwskie w króla towarzyszach.

Nie bacząc na przebyte trudy dalekiej podróży, na bóle w krzyżach, na mróz i wichurę, wydaje król ostatnie zarządzenia. Przed jego oczyma staje znowu wizja kniei w całej zimowej piękności, kniei przyjaciółki i lekarki.

W towarzystwie druhów najmilszych zjeżdża do drewnianego dworku w kudzyńskim folwarku i zaraz w las wyrusza.

Już naganka pędzić zaczyna, zająwszy szeroką ławą leśne rozłogi.

Już wypłasza z barłogów stado czarnej zwierzyny.

Na króla wychodzi duży odyniec. Strzela więc ze swej ulubionej rusznicy i rani zwierza.

Chcąc go dobić, puszcza się za nim w pogoń. Dzik jednak umyka wytrwale, znacząc swe tropy farbą obfitą.

Wielki łowiec dogonić go nie może i męczy się bardzo. Ubrany w krótką szubę, chroniącą przed ,wichrem zrzuca ją na nieszczęście z siebie i dalej ściga...

Dopada wreszcie postrzałka i kordelasem dobija...

Lekko ubranego, potem zlanego, zły wiatr owiewa.

Z wysiłkiem dmie w róg myśliwski i towarzyszy przyzywa.

Przybywają pędem i widzą wyblakłą, jak płótno, twarz króla.

On sam czuje wielki ból w piersiach i krzyżach...

Dawna rana w lewej nodze dolegać zaczyna, a serce coraz mocniej się tłucze. Ustać nie może, więc się słania, na wykrocie siada, jęk głuchy z piersi wydając.

Nadbiegłym przyjaciołom skarży się na dolegliwości, ale animuszu nie traci i dobrej jest myśli.

Chce nawet powstać, ale nie może o własnych siłach. Zimny dreszcz ciałem jego wstrząsa. Występuje gorączka.

Przyjaciele prowadzą go ostrożnie na leśnictwo, wyczuwając, że z każdym krokiem cięży im coraz bardziej i leci przez ręce...

Przerażenie ich nie ma granic.

Wieczorem czwartego grudnia pamiętnego roku 1586 wraca król na wymoszczonych futrami saniach, już ciężko chory, do Grodna.

Podążali za nim, w smutku bezmiernym pogrążeni jego rycerze.

C. d. n.

kawym, czy w Europie dzisiejszej spotkałoby się gdzie takie wrażliwe sumienia?

Od wczesnego ranka przechadzali się przed naszym szałasem trzcinowym, obdarowani murzyni, pokazywali się nam udrapowani w otrzymane materje, paradowali w nowych koszulach. Kobiety wzamian za paciorki przynosiły nam jarzyny; w ciągu naszej podróży dostawaliśmy czasami różne jarzyny, lecz pierwszy to raz uraczono nas kartoflami. W Europie prawie wszyscy jesteśmy do tego stopnia ziemniakożerni, iż chyba dzień nie minie, żeby Europejczyk, szczególnie z północnych krajów, nie ładował w siebie tego lichego zresztą pożywienia. Bez starannej opieki i uprawy, drobne kartofle tropikalne, dużo jednak lepsze od naszych: w tych górach, zwyż 1400 metrów wysokich, z ziemią urodzajną, pod potężnem słońcem równika, udają się wspaniale wszelkie jarzyny, które u nas ledwie wegetują; pomidory, groszek, cebula, fasola, a smakują o wiele intensywniej, niż w krajach północy.

Pomiędzy obdarowanymi murzynami najbardziej się kręcił sam sultani Karibumba; otrzymany w prezencie zegarek powiesił za sznurek na szyi i z żalem pokazywał, że nie idzie, zdołał bowiem przez noc już go zmajstrować. Musiałem mu zegarek wymienić na inny; stary szef wyglądał bardzo zadowolony i jednem okiem porozumiewawczo i obiecująco na mnie zerkał, drugie bowiem oko zalała mu jakaś choroba i przykrywał je kawałkiem kory.

Słońce już miało się ku zachodowi, gdy ujrzeliśmy grupę murzynów ostro do nas idącą. Chwilę potem przywitawszy się z bratem sultani'm, wbił zamaszyście swą pikę w ziemię i stanął przedemną dla zdania raportu *kapita* Arondisa. Szerokiemi gestami pokazywał na góry, o trzy godziny marszu od nas odległe i objaśnił, że za temi górami w jarach, widziano dwa duże słonie. Radzi wyruszyć zaraz, gdyż do jutra mogą się wynieść. Rozważamy tą propozycję; zanim zajdziemy, ciemno się zrobi, trzebaby nocować w murzyńskiej budzie, co zupełnie niemożliwe. Postanawiam więc nazajutrz wcześnie wyruszyć.

Ranek 21 kwietnia był wspaniały, chłodny, czysty, górski poranek. Szliśmy za Arondisą ku wschodowi, ja, mój strzelec Selimani, syn Arondisy i chłopak z kinematografem. Przed nami Ruwenzori, za którym słońce jeszcze nie wstało, za nami widok rozległy, pewnie na dwieście kilometrów, nieprzejrzanych lasów się ścielił. Po drodze, przy napotkanych szałasach, urządzali sobie moi murzyni częste postoje, podczas których z ust do ust fajka krążyła; udawali, że to dla informacji te posiedzenia odbywają, więc nie broniłem im tego, lecz bardzo stanowczo odpędzałem wszystkich, którzy po takim postoju do nas przyczepić się chcieli. Gdyśmy nakoniec weszli na górę, pod którą w gęstych krzakach i zarośłach słonie przebywać miały, wziąłem tylko Arondisę i Selimaniego ze sobą, a dwom innym pod najstraszniejszemi groźbami nie pozwoliłem z miejsca się ruszyć.

Zeszedłszy z góry, posuwaliśmy się małym pagórkiem, który jak półwysep pomiędzy krzaki się wciskał. Teraz Arondisa stanął, długo badał zarośla i naraz mi wskazał, jak na sto kroków przed nami liście się poruszają; chwilę potem, niedaleko od tego miejsca, ukazał się grzbiet szary, do skały odłamu podobny. Arondisa najwidoczniej miał tremę; przytrzymałem go na miejscu, by się rozglądnąć w terenie, wybadać wiatr, który jarem ciągnął ku górze, dla nas korzystnie. Puściliśmy się w te gęste krzaki, krok za krokiem, nadsłuchując, pilnując, aż usłyszeliśmy przed sobą suchy trzask gałęzi, którego można było nie usłyszeć, gdybyśmy nie szli tak bardzo uważnie. Kazałem obydwu murzynom siąść, nie ważyć się krokiem za mną postąpić, zabrałem Selimaniemu karabin i z dwoma sztucerami podsuwałem się tam, skąd szmer mnie dochodził. Za chwilę spostrzegłem przed sobą potężny tułów, a dalej ujrzałem łeb i kły u nasady, które niezmiernie grube mi się wydawały. Strzelać jednak nie mogłem, gdyż tak gałęzie głowę zakrywały, że strzał nie był pewny; dalej się podsuwałem, już pewnie nie więcej, jak dziesięć kroków dzieli mnie od słonia. W małe bagienko muszę włazić, by ujrzeć łeb niczem już nie zakryty, lecz odwrócony odemnie, gdyż w tamtej stronie trąbą gałęzie do pyska nagina. — Karabin przy nodze, mój stary sztucer w ręku, czekam, aż łeb potężny, pomarszczony, z kłami jak tramy kamienne, ku mnie powoli się zwraca: natenczas palnąłem. Na początek ucha, w poziomie oka, ta mała kulka swoje zrobiła. Kolos grzmotnął o ziemię, iż zdawało mi się, że świat zadygotał.

Rzuciłem się ku mej zdobyczy, po pas do bagna i gdy brnę przez to trzęsawisko, doskakuje mnie Arondisa i głosem ochrypłym z gorączki myśliwskiej krzyczy, by strzelać. Byłym pewny, że mój słoń, który po strzale padając mi zniknął, podniósł się, więc coraz gwałtowniej ku niemu się darłem. Nakoniec ujrzałem nieruchomo leżący łeb martwego już całkiem słonia; wtedy dopiero pojąłem, że Arondisa widzi drugiego. Dalej więc, co mogę przez drapiące gęstwy za Arondisą się cisnę i widzę raptem przed sobą wspaniałą sztukę, o kłach długich rzadkiej piękności. Jednak tylko mgnienie oka to trwa i słoń znika. Arondisa, znający teren, odcina mu drogę i spotykamy go ponownie, my z jednej, on z drugiej strony skłonu małego jaru. Tylko głowę widać a pewnie, że będzie przeszło dwadzieścia kroków. Lecz niema czasu do namysłu, gdyż może za chwilę ten łeb, wspaniałemi kłami zbrojny, da nura w krzaki i więcej go nie zobaczę. Celuję starannie, tak samo na początek ucha, walę raz, zaraz drugi i z łomotem słonisko pada. Oszołomiony sukcesem garściami ściskam czarny łeb Arondisy, gdy naraz słoń wstaje, lecz tyłem do mnie zwrócony. Wyrywam Arondisie karabin i puszczam po tych plecach w nasadę łba pięć kul, aż się kurzy z tego cielska pokrytego suchem błotem. Musiało to zwierza rozjuszyć, gdyż ruszył przed siebie, sapiąc i łamiąc wszystko gwałtownie: znowu zabiegamy mu drogę i nad małą strugą wody, przy której kilka metrów szeroki moczar, przystajemy, gdyż tuż przed nami słoń ku nam

wali. Stanął w tak gęstym krzaku, że nic go nie widać, strasznie się tylko miota, że aż haszcze się trzęsą od jego potężnych razów i stąpań. Chwilę byłem bezradny co począć, poleźć w te krzaki to jak w paszczę wulkanu. Czekając, mogę utracić ten wspaniały okaz. Ostrożnie więc podsuwam się do krzaka, który drży i tańcuje, a wypatrzywszy z trudem zarysy głowy palnąłem; kula trafiła pod oko w kieł. Z trąbą do góry wzniesioną, z dwumetrowemi kłami u pyska, miotając głową na prawo i lewo, wypada z gęstwiny groźny, wspaniały kolos. Miałem już sztucer powtórnie nabity i dwie dobrze mierzone kule przez łeb zwaliły ten gmach. Swemi strasznie szpiczastemi kłami wbił się do bagna, aż ziemia stęknęła od ciężkiego upadku. Jeszcze przed chwilą rozszalały potwór siedział cichy, skulony przy ziemi.

Z dzikim okrzykiem triumfu, przyskoczył do nieżywej bestji Arondisa i, nie wiem czy z radości, czy mszcząc się za tyle emocyj, rzucał raz po raz pikę w trąbę słonia. Ostrze właziło jak w masło i świeża krew tryskała.

Końca nie było oglądaniu obydwóch słoni, które nie więcej jak o sto kroków od siebie leżały; szczególnie o pierwszym miałem wygórowane pojęcie, gdyż murzyni swemi przesadnemi pochwałami w tem mnie utrzymywali. Dopiero za powrotem do Bungulu była okazja kły zważyć; otóż pierwszego ważyła sztuka 49 kg, zaś drugiego 39 kg, a długość tych ostatnich 2,68 metra. Te dziesięć minut, czy kwadrans, które trwała ta scena, zapłaciły mi sowicie za wszystkie dotychczasowe trudy i niepowodzenia. Zdawałem sobie sprawę, że dziś już rzadko białemu myśliwemu takie trofeum się zdarzy.

Powrót do naszego obozu nigdy dotychczas nie był tak wesoły. Po wielu tygodniach nieudanych łowów chwila powrotu była zwykle znowu jedną więcej rezygnacją i pewnością, że na ten dzień już wygasić w sobie wypada wszelkie zarzewie nadziei. I tak dzień w dzień ta nadzieja tłumiona, zaczęła mnie wreszcie opuszczać; zdawało się, że moje dążenia, by zabić słonia o 100 kilogramach kości słoniowej, to może utopja. Teraz go miałem i w parze z drugim, który choć nie miał tej wagi, lecz długością i pięknością kłów może go nawet przewyższał.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

W pustyniach Turkiestanu 1902 r.

(Z życia Azjaty)

Stepy.

Te wolne, bezbrzeżne, okiem nie ogarnięte płaszczyzny, pokryte bujną roślinnością i wysoką trawą i białą tyrsą, miały dla mnie zawsze niewysłowiony urok i pociągały mnie zawsze ku sobie. W tem morzu żywej zieleni czułem się jak ptak swobodnym, byłem najszczęśliwszym dysząc jego czystem, zdrowem powietrzem, wsłuchując się w wieczny szum i poświst wiatrów, w brzęk owadów, szelest przyziemnego robactwa. Lubił step Kerbełaj, kochał go i Achmet i czuliśmy się w nim, jak na łonie matki.

Ich znajomość stepu oddała mi wielkie usługi i im też mam do zawdzięczenia me niezwykłe trofea, z ich pomocą osiągnięte.

Jak dobry owczarz zna swą owczą otarę (stado) i umie się według swej myśli i woli kierować, tak moi ludzie znali życie i zwyczaje dropi, strepetów i innych stworzeń i umieli niemi kierować. Już w pierwsze dni mego pobytu w stepie mogłem ocenić myśliwskie zalety Kerbelaja.

Oto tam, gdzie ja z pomocą szkieł zaledwie wyśledzić mogłem pasące się tabuny dropi, przelatujące stada strepetów — mój K.-Ogły dawno je miał na oku i układał plany podejścia.

Oto na dalekim horyzoncie płynie w powietrzu tabun dropi, zatacza półkoło i zapada w wysokich trawach. Zaledwie widzieć można ich duże łebki na długich szyjach z traw wystające. Jedne zaczynają skubać miękkie rośliny, inne zbierają z burzanów owady, inne znów przechadzają się majestatycznie, śledząc uważnie wzrokiem wokoło, a inne jeszcze strzepują niekiedy skrzydłami, jakby nie umiały jeszcze należycie ich ułożyć po dalekim locie.

To młode ptaki, nie nawykłe jeszcze do lotu dalekiego. K.-Ogły ma już plan gotowy. Pozostawia mnie w ukryciu wysokich burzanów, sam zaś na mym wierzchowcu okrąża tabun zdala, a zajechawszy mu z przeciwnej strony, poczyna manewrować. Popasając konia, zachodzi dropiom tyły i niepostrzeżenie kieruje tabunem w mą stronę. Dropie początkowo nie zdają się zwracać swej uwagi na niego, lecz po pewnym czasie zauważyć się daje widoczny niepokój w ich stadzie. Ten i ów ze starszych samców obejrzy się po za siebie i wolnym krokiem tabun rusza przed siebie. Tatar nie spiesząc, postępuje za nim, nie spuszczając z niego wzroku na chwilę i zabiegając mu w tę, lub inną stronę, kieruje nim według swej woli.

Po pewnym czasie ptaki zaczynają się już widocznie niepokoić. Częściej przystają w pochodzie, oglądają się raz po raz poza siebie, ten i ów strzepnie białemi skrzydłami, jakoby chciał je wypróbować, czy go w locie nie zawiodą, zakręci niecierpliwie ogonem i przyspiesza

kroku. Nagle stary wąsacz, prowodyr stada, podejrzewając podstęp tatara, rozpościera szeroko skrzydła i dwoma, trzema uderzeniami długich nóg odbija się od ziemi i szybko unosi się w powietrze, a za nim już całe stado podąża. Ciągną w skośnym do mnie kierunku, lecz zauważywszy mnie, nagłym zwrotem zmieniają drogę, lecz w tej chwili mam je na strzał i strzelam do najbliższych.

Jak ciężki worek, pada w suche trawy wspaniały wąsal, inny, po którym śróty wyraźnie trzasnęły, zwiesił długie golenie, zakręcił łbem i pociągnął za tabunem. Po chwili pozostał za nim daleko, zatoczył niepewne koło, dał młyńca w powietrzu i padł na ziemię.

Bronią dropia jest jego wzrok doskonały, jak u jego krewniaka afrykańskiego strusia i dojść na otwartej przestrzeni tego ptaka, jest niepodobieństwem. Zchodziłem dropie nie jeden raz w mych nań polowaniach, lecz są to zdarzenia wyjątkowe. Drop w czasie upalnego południa szuka schronienia w cieniu wysokich burzanów i ostów.

Tam leżąc z wyciągniętą po ziemi szyją i rozwartym szeroko dzióbem, drop spędza kilka najupalniejszych godzin w zupełnym spokoju. Raz znalazłem się w samym środku śpiącego takiego tabunu w wysokich badylach. Gdy ptaki ze wszech stron, z przodu, z boków i po zamną rwać się poczęły, czułem formalnie ostry pęd powietrza od ich skrzydeł i słyszałem charakterystyczne ich szypienie, jakie te ptaki w strachu wydają przy wzlocie.

Zrywające się w przestrachu ptaki, wypuszczają całą zawartość żołądków, co robi złudzenie chwilowe odrywających się za nimi białych sznurów. Spokojny i zrównoważony myśliwy ma dość w takiej chwili czasu po pierwszym udatnym dublecie, zmienić jeszcze wystrzelone naboje i strzelić powtórnie za nimi, jakkolwiek lot dropia jest nader szybki. Zdążyłem i ja po pomyślnym dublecie i zabiciu dwóch kolosalnych wąsaczów nabić jeszcze mą tesznerówkę i posłać w pogoń za uchodzącem stadem jeszcze dwa wystrzały, zaledwie raniąc jednego, innego pudłując.

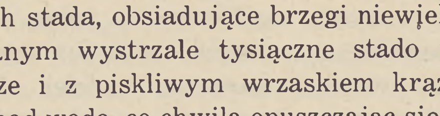
Najwyższa waga upolowanych przezemnie samców, wynosiła 43 kg — samic nie przechodziła 32 kg.

Drugim licznym przedstawicielem stepowych ptaków turkiestańskich, występuje strepet (olis tetrax) „półdropiem" tam zwany. W czasie mego tam pobytu już zatracił samczyk swój piękny strój weselny, swą czarną kamizelkę z białym żabotem i niczem nie odróżniał się od swej zgrabnej, rdzawo-popielatej małżonki. Zebrane jesienią w ogromne stada, po kilkadziesiąt sztuk liczące, w tym czasie ruchliwe i trudne do podejścia. Znałem te piękne ptaki z mego pobytu w połud.-europejskiej Rosji, lecz w tak wielkiej ilości nigdy ich tam nie spotykałem. Znajomość ich zwyczajów ułatwiła mi me polowanie i doznałem tu prawdziwej rozkoszy, polując dni kilka na te śliczne ptaszyny. Pierwotnie spędzone zataczają kolosalny krąg i padają w wysokie trawy, a ruszone powtórnie, już zapadają bliżej, dają się podejść na daleki strzał, którym rozpędzone, rozbijają się już na małe grupy i wtedy można dojść do możliwego strzału.

Szczególnie, gdy są gonione przez sokoły, rozbijają się na pary, zaszywają się w gęstych burzanach, skąd podrywają się prawie z pod nóg myśliwemu. Często uciekają chyłkiem i trzeba biec szybko, by je dopędzić i zmusić do wzlotu. Strzał jest tak łatwym, że trzeba być wielkim fuszerem, by spudłować do tego ptaka na możliwy dystans. To też w niedługim czasie przesyciłem się tą łatwą zdobyczą i niepotrzebnem mordowaniem pięknych ptaków, pozostawiłem je w spokoju, gdyż nadchodził czas innego polowania na przelotne ptactwo. W drugiej połowie września zaczynają się masowe przeloty stepowych jaskółek, ptaków wielkości synogarlicy, o formach naszej hirundo, ciemnooliwkowego ubarwienia, z białem podbrzuszem i takąż piersią, o ostrych skrzydłach i widełkach w ogonie. Nazywają je „terkuszkami" ze względu ich ustawicznego „tyrki-taki", jakie w swym przelocie ożywiają głuche i puste już stepy. Z wczesnego poranku wesołe ich głosy nie ustają do późnego wieczoru, a w czasie południa ogromne ich stada, zbierające się nad wodami i tam kołujące godzinami, podnoszą krzykliwą wrzawę. Polowanie na te sympatyczne ptaszyny ma wiele uroku dla myśliwego, wymaga jednak od niego dużo cierpliwości i wielkiego nawyku. Oto z daleka dochodzi wesołe „tyrki-taki" i za chwilę, nisko nad ziemią, ciągną w pewnem od siebie oddaleniu i przerwach całe ich szeregi. Lot niespokojny, szybki, ciągłe ewolucje, nagłe zwroty w pogoni za muchą, czy owadem. Nie są lękliwe, huk strzału nie zbyt je przestrasza, a chybiona zawraca często i na powtórny strzał nadlata. Wieczorem lubią zasiadać na gołych pagórkach, gdzie je zajść, lub zjechać mogłem na kilka kroków. Pewnego razu w czasie skwarnego południa, znalazłem nad zbiorowiskiem wód w stepie, ogromne ich stada, obsiadujące brzegi niewielkiego stawu. Po danym wystrzale tysiączne stado wzbiło się w powietrze i z piskliwym wrzaskiem krążyło przez długi czas nad wodą, co chwila opuszczając się tak nisko, iż mogłem prawie nieustannie strzelać. Wreszcie po zabiciu 20 kilku sztuk, sprzykrzyła mi się ta zabawa, zostawiłem je w spokoju i stado znów zasiadło nad wodą, pijąc i kąpiąc się rozkosznie. Z końcem ich przelotów 18—20 dniowych, stepy zalega cisza i martwota zupełna.

Jakkolwiek w stepach Turkiestanu w dużej jeszcze ilości żyje dziwoląg-suchak (antilope sajga) zaledwie raz udało mi się ją obserwować przez binokle na bardzo daleką metę. Nie będąc zbytnio zachęcony jej wyglądem, monstrualnym łbem i garbatym nosem o małych, jak drewniane kołeczki, sterczących na łbie różkach i koślawych nogach krótkich, nie zadałem sobie trudu pogoni za nią i traceniu czasu na niepewne jej zdobycie.

C. d. n.



Podział zwierzyny według jej wartości łowieckiej

Wśród naszych myśliwych panują rozbieżne poglądy pod względem segregacji zwierzyny według jej wartości łowieckiej. Należałoby rzecz tę ustalić. Łowy dzielimy na wyższe i niższe, czasem jeszcze i średnie. Podział jednak trzyrzędowy jest niepotrzebny. — Kurowski zalicza do wyższych łowów: żubra, jelenia, łosia, niedźwiedzia, sarnę, daniela, dzika, wilka, dropia, głuszca, cietrzewia, jarząbka i bażanta, do niższych zaś łowów wszelką inną zwierzynę wraz z bobrem, rysiem i żbikiem. Dietzel do łowów niższych zalicza sarnę, zająca, królika, lisa, borsuka, wilka, żbika, wydrę i resztę drobnej zwierzyny prócz bażanta, którego wprowadza do łowów wyższych.

Są to sposoby segregowania zwierzyny przestarzałe i niemające wobec dzisiejszych pojęć łowieckich żadnego uzasadnienia.

Zwierzynę naszą według jej łowieckiej wartości dzielimy dzisiaj na dwa rzędy. Do łowów wyższych zaliczamy: żubra, niedźwiedzia, jelenia, łosia, kozicę, bobra, rysia, żbika, głuszca, dropia, orła przedniego, orła bielika, puhacza, żórawia i łabędzia. Do łowów niższych należy wszelka zwierzyna inna, nie wyjmując z niej wilka, bo choć zwierz ten cennym zawsze jest dla łowca łupem, nie zasługuje on na miejsce w zwierzęcej arystokracji. Zwierzyna zajmuje miejsce w niej ta, która jest najrzadszą w spotkaniu i na którą łowy są trudniejsze i wymagają wyższego łowieckiego kunsztu. Z tej zasady wychodząc, zaliczają niektórzy do zwierzyny wyższego rzędu kozła z rogami i cietrzewia, na pochodach, względnie podjazdach.

W staropolskiem łowiectwie przedstawiano wartość łowiecką zwierzyny w sztukach. Niedźwiedź i duży dzik liczył się za sztuk 20; łoś, jeleń, bóbr i ryś za 15; żbik i wilk za 10; lis, sarna i borsuk za 6; warchlak za 4; drop, głuszec za 3; cietrzew, jarząbek i bażant za 2; zając, kuropatwa i t. p. za 1; wreszcie bekasik za pół sztuki. żubra tu pominięto, dlatego zapewne, że zwierz ten niedostępnym był dla zwykłych śmiertelników. Znamiennem jest, że gruby dzik szedł na równi z niedźwiedziem, przewyższając wartością swą jelenia, łosia i rysia.

A. M.

Korespondencje

Młyniska, dnia 6. stycznia 1929

Jako delegat Małop. Tow. Łow. pospieszam podzielić się z Bracią Myśliwską spostrzeżeniami zaczerpniętemi w tutejszej okolicy odnośnie do stanu zwierzyny.

Już w ciągu ubiegłego lata i jesieni zauważyłem, że ilość zajęcy znacznie zrzedła, jednakże nie przypuszczałem, by zanik tej zwierzyny był aż tak wielki, jakim się okazał po rozpatrzeniu się zaraz po pierwszej ponowie. Chcąc dociec przyczyny tego objawu, zastrzeliłem kilka sztuk zajęcy o podejrzanym wyglądzie i następnie przeprowadziłem ich sekcję. Okazało się, że wszystkie one dotknięte były tak zwaną pseudotuberkulozą, objawiającą się w tem, że organa wewnętrzne zajęcy pokryte były bardzo gęsto drobnemi wrzodzikami, zawierającemi żółtawą, cuchnącą ciecz. Na pierwszy rzut oka miało się wrażenie, jakoby zające zostały postrzelone bardzo gęsto nadzwyczaj drobnym śrutem, tak bowiem wyglądały wyjęte ich wnętrzności.

Choroba ta jest widocznie właściwą gryzoniom, gdyż zauważyłem również, że wielka ilość szczurów i myszy, jaka poprzednio pojawiła się była w tutejszej okolicy, znikła, jak gdyby pod ziemię. Nie spotykam również i wiewiórek, których przedtem było dość dużo w tutejszych lasach. Z wiosną ubiegłego roku miałem sposobność znaleźć trzy padłe zające bez jakiejś widocznej przyczyny, a ponieważ miało to miejsce tuż po ukazaniu się pamiętnego pyłu, jaki z końcem kwietnia pokrył Małopolskę, więc temu to zjawisku przypisywałem szkodliwy wpływ na zdrowie zwierzyny, zwłaszcza, że zagadkowem było pochodzenie owego pyłu i zdania fachowców były w tym względzie podzielone. Jako laik, nie mogę upierać się stanowczo przy swojem przypuszczeniu; konstatuję tylko współczesność, jaka zachodzi między pojawieniem się pyłu a zanikiem zwierzyny, zostawiając fachowcom wypowiedzenie się, czy między oboma temi zjawiskami zachodzi jakiś przyczynowy związek. Dostarczone przez innych pp. Delegatów daty odnośnie tej kwestji mogłyby, zdaniem mojem, rzucić sporo światła na zaobserwowane zjawiska.

Również nie wesoło przedstawia się ilościowy stan kuropatw. Jakkolwiek rozmnożyły się były dość znacznie w tutejszej okolicy i dość dobrze przezimowały, gdyż z początkiem kwietnia udało mi się spotykać dość nawet pokaźne stada, to jednak z nadejściem jesieni ilość kuropatw zmalała do tego stopnia, że pomimo przedsięwziętych przeze mnie skrzętnych przeszukiwań przy pomocy psa na przestrzeni około 1000 morgowej, spotkałem zaledwie dwa stadka, liczące jedno 4, drugie zaś ośm sztuk. Równocześnie dla upewnienia się zasięgałem informacji u włościan, jako takich, którzy ustawicznie mają styczność z polami i otrzymywałem zgodne wieści, że kuropatw nie spotykają wcale. Przypuszczam, że uledz musiały jakiejś nieznanej mi bliżej chorobie zaraźliwej, spowodowanej częściowo nieprzyjaznemi warunkami klimatycznemi na wiosnę, częściowo zaś, o ile się nie mylę, owym wspomnianym wyżej pyłem. W tem ostatniem mojem przypuszczeniu utwierdza mię okoliczność, że przepiórki, które pojawiły się tutaj już po zniknięciu pyłu nie poniosły szwanku, owszem, jak miałem sposobność zauważyć, rozmnożyły się w tutejszej okolicy dość nawet pokaźnie.

Reasumując moje sprawozdanie, zaznaczam wkońcu, że wyjątkowy zanik zwierzyny i ptactwa w ubiegłej porze letniej zeszedł się dziwnym trafem z równie wyjątkowem zjawiskiem metereologicznem, owym szaro zielonkowatym pyłem, zaobserwowanym w kwietniu. Czy pył ten miał rzeczywiście ujemny wpływ na stan zdro-

wotny zwierzyny i ptactwa, stanowczo twierdzić nie mogę, nie mając ku temu danych. Bądź co bądź sprawa ta jest godna zastanowienia i dlatego radbym usłyszeć w tej kwestji opinję z kół miarodajnych.

Romuald Załanowski
delegat M. T. Ł. na powiat trembowelski

Nieżuchów, dnia 8. stycznia 1929

Chcąc wreszcie przerwać uporczywe milczenie tutejszych delegatów M. T. Ł., pospieszam z niniejszem sprawozdaniem z ziemi stryjskiej.

Na wstępie zaznaczyć muszę z przyjemnością, że stan drobnej zwierzyny, zwłaszcza zajęcy w roku ubiegłym nadzwyczajnie się p o p r a w i ł tak, że w niektórych rewirach powiatu przewyższa znacznie stan przedwojenny — a w porównaniu z latami 1920—1926 wzrósł o około 100%.

Zawdzięczać to należy przedewszystkiem troskliwej i systematycznej opiece i ochronie kilku właścicieli i dzierżawców polowań, — którzy w zrozumieniu racjonalnej hodowli — przez lat kilka bardzo umiarkowanie upolowywali swe rewiry zajęcze, — zadając przytem co roku w miesiącach zimowych karmę, w postaci jarmużu, marchwi, koniczyny, — tępieniu szkodników — wreszcie chwalebnej inicjatywie kilku wybitnych hodowców, a to p. E. T. i Wł. Barańskich, którzy dla odświeżenia krwi i rozmnoży sprowadzili z wiosną 1928, 65 zajęczyc. Łagodna i sucha wiosna i lato ub. r. sprzyjały też rozmnoży drobnej zwierzyny, na co wskazuje zadowalający obecnie stan kuropatw, dotąd bardzo nielicznych.

Zasadą przyjętą i uznaną niemal wszędzie, z małemi jednak niestety wyjątkami, jest opolowywanie rewirów, tak leśnych, jak polnych jeden jedyny raz w sezonie, dalej zakaz polowania na „pomyka" czy „deptaka" — do niedawna z pasją uprawiany, przez niektórych „myśliwych", która to forma polowania powodowała w latach powojennych dotkliwą redukcję zajęcy w wielu rewirach.

Jak wspomniałem są to starania i wysiłki kilku jednostek — nie wszyscy bowiem mają zrozumienie dla hodowli i etyki myśliwskiej, a istnieją też i u nas „myśliwi", którzy jużto tolerują kłusownictwo, już — też obojętnie patrzą na kłusownictwo własnej straży leśnej. Jedyną radą w podobnych wypadkach byłoby wywarcie pewnej presji moralnej, celem nakłonienia owych właścicieli rewirów, niemyśliwych, lub pseudomyśliwych do wydzierżawienia ich, dalej włożenie obowiązku dzierżawienia sąsiednich rewirów gminnych, w których najczęściej gospodarka łowiecka przedstawia się katastrofalnie.

Stan sarn w naszym powiecie wykazuje stopniową, choć powolną poprawę. Jelenie, które prawie znikły od roku 1914, znów ukazują się w kniejach podgórskich, — niestety, groźne rabusie wilki grasują od lat kilku w tych rewirach i plaga ta nie pozwala na spokojną, normalną rozmnożę, tak sarn, jak i jeleni.

W końcu nadmieniam, że z radością powitać możemy zorganizowanie powiatowych komisji łowieckich, które jako organ doradczy i opinjodawczy przy Starostwach, wielostronnie i wydatnie przyczynić się mogą do podniesienia łowiectwa.

Andrzej Onyszkiewicz
delegat M. T. Ł.

Pieniaki, w styczniu 1929

Dnia 11 stycznia 1929, na polowaniu w Turczynowie, u p. Stanisława Cieńskiego, w 7 strzelb, przy 25-stopniowym mrozie i głębokich śniegach, w 7 miotach na 137 strzałów, padło 50 zajęcy.

Dnia 12 stycznia 1929, na polowaniu w Brodku u p. Ludomira Cieńskiego, w strzelb 8, przy 27-stopniowym mrozie i głębokich śniegach, w 5 miotach, na 30 strzałów padło 16 zajęcy. Bardzo celne strzały robił z browninga 10-strzałowego Cl. 22, Roman hr. Bielski.

Lwów, w styczniu 1929.

Garstce, bo 5 strzelbom tylko pozwolił św. Hubert zapolować dnia 15 stycznia 1929 w Nowosiółkach koło Rudek.

Reszcie zaproszonych odmówił św. Hubert swej łaski korzystania z zaproszenia, strasząc jednych zawieruchą śniegową, innych terminami wekslowemi i t. d.

Po kilkudniowej zadymce, nastał dzień 15 stycznia 1929 wymarzony do polowania, mroźny bez wiatru i słoneczny.

W każdym miocie widzieliśmy staranną opiekę gospodarza p. Andrzeja Skrzyńskiego nad zwierzyną. Wszędzie rozłożone tryzubki uzupełnione sianem, to też stan sarn znakomity.

Ubito 11 rogaczy i 30 zajęcy. *J. R.*

Lwów, 18 stycznia 1929.

Ze sztućcem na zające

W połowie stycznia odbyło się w rewirach Uhrynowa, p. Eustachego Ścibor Rylskiego polowanie na zające strzelane wyłącznie kulami. W strzelb 7 ubito 135 zajęcy, 1 lisa i dwa odyńce, słownie stotrzydzieścipięć zajęcy, jednego lisa i dwa odyńce (jedynie kulami z broni na dziki, których przy polowaniach dziczych w uhrynowskich rewirach jest znaczna ilość). Dziczych miotów nie brano, widziano sztuk 5, z których to 2 piękne odyńce ozdobiły rozkład szaraczy.

Może i szkoda, że te seniory kniei nie uszlachetniły rozkładu wybitnie dziczych łowów, albo nie złożyły swych szabli po walce z pieskami.

Uczestnikami byli Benedykt Brykczyński, Władysław Garapich, Mieczysław Kruszewski, Kazimierz i Zdzisław Marmorosse, Stanisław Obertyński i jako najwyższa klasa, gospodarz.

Ilość ubitych sztuk wahała się między 16 a 28, naturalnie najwięcej miał Marmoross.

Stan zwierzyny, opieka nad nią, sposób prowadzenia łowów, dały łaskawie zaproszonym gościom wielką biesiadę myśliwską bardzo szlachetnego sportu.

Zajęcy dużo, o czem rozkład kulowy sam za siebie mówi. Sarn bez liku, w każdym miocie rogacze, pomimo, że złożyły haracz z 24 sztuk w ubitych w lecie, widać w każdym kierdlu. Karma dla zwierzyny obfita, a mimo to straż leśna uskarża się na znaczne szkody wyrządzone przez sarny w młodych kulturach sosnowych.

Doprowadzenie do takiego zwierzostanu po wojnie daje wybitny dowód panujących w Uhrynowie kultury łowieckiej i opieki gospodarza nad jego ukochaną zwierzyną.

Do ubitych stotrzydzieści ośm sztuk padło 553 strzałów rachowanych przez straż leśną.

Postrzałków, mimo że strzelano z broni jak Savage, Rumm 6,5mm, Manlicher, Schönauer, stosunkowo ilość znaczna, które się skrzętnie wyzbiera.

Na rozkładzie zaznaczyć nie można było żadnego poganiacza, nikogo ze straży leśnej, a żaden z gości nie usłyszał, znanego mu z wojny, gwizdu kul nad uchem.

Przypuszczam, że nasz gospodarz myśliwy tem polowaniem ustanowił nowy rekord światowy.

Jak swych gości tym wysokim sportem i swą szeroką gościnnością uraczył, dali oni wyraz ustnie.

Tu, w roku jubileuszowym „Łowca" zaznaczyć pragniemy raz jeszcze głęboką wdzięczność i serdeczną podziękę.

Nawet wściekła jazda z Sokala do Lwowa trwająca z powodu zawiei (z domu do domu) od 3-ciej rano do 1-szej w nocy nie była w stanie zatrzeć najmilszego wspomnienia polowania uhrynowskiego.

Wreszcie podaję zestawienie ilości zwierzyny wypadającej na każdego strzelca i rodzajów broni.

Myśliwy	Zwierzyna	Broń
1, Zdzisł.Marmoross	zaj. 28	Rep. Schönauer 6·5 mm
2. Kaz. Marmoross	„ 22	dryling rumun 6·5 mm
3. Benedykt Bryk-czyński	„ 20, 1 odyn.	podw. rumun 6·5 mm
4. Eustachy Rylski .	„ 19	podw. Savage „22"
5. Mieczysław Kruszewski	„ 16, 1 odyn.	„ „ „
6. Wład. Garapich .	„ 14, 1 lis	podw. Mannlicher 8 mm
7. Stan. Obertyński	„ 15	9-strzał. Winchester 22

W. G. S.

Sprostowanie!

W Nr. „Łowca" Nr. 2 z dn. 16 stycznia 29 r. połknęła drukarnia Panu Ordynatowi Czarkowskiemu-Golejewskiemu 100 (sto) zajęcy na stronie 31 rozdział drugi linja 7, w której ma być zaznaczonych nie 30 lecz 130 zajęcy. *W. G. S.*

SPRAWY TOWARZYSTWA

Z Oddziału M. T. Ł. w Krakowie

Przypominamy zamieszczony w „Łowcu" z 16 stycznia komunikat Oddziału, zwołujący

Ogólne Zebranie Członków

na środę 6-go (szóstego) lutego b. r. o godzinie 6 wieczór w sali Towarzystwa Strzeleckiego w Krakowie, ul. Lubicz 16.

Na porządku dziennym doroczne sprawozdanie za 1927 i 1928, oraz wybór całego Zarządu Oddziału.

W obradach i głosowaniu uczestniczą wszyscy obecni członkowie M. T. Ł. zamieszkali na terytorjum Województwa krakowskiego.

Prosimy o liczny udział w Zebraniu.

Kraków, dnia 18 stycznia 1929 r.

Za Wydział Oddziału M. T, Ł. w Krakowie

Stiller, em. gen. dyw. — Prezes
Morawetz — Sekretarz

Przestroga dla sprowadzających zające

Zima sroga nawiedziła nasze łowiska, a z tem spadł i na nas obowiązek pamiętania o naszej zwierzynie, która cierpi głód i gotowa wyginąć. Należy zwierzynę paść i pielęgnować i jest to obowiązkiem nietylko myśliwych lecz i miłośników zwierzyny.

Wiele jednostek czyni już dużo, aby zwierzostan swój powiększyć, tak m. i. sprowadzono roku zeszłego kilka tysięcy zajęcy dla odświeżenia krwi, chcąc tem polepszyć i rozmnożyć ród zajęczy. Z sprowadzeniem zajęcy z zagranicy dostały się w niektóre nasze łowiska niestety różne zakaźne choroby, które wyniszczają resztę naszych zajęcy.

Wobec powyższego faktu ostrzegam wszystkich właścicieli łowisk, aby w tym roku zajęcy nie sprowadzali, gdyż nietylko, że narażają się niepotrzebnie na koszta, lecz i wygubią resztę swoich zajęcy.

Wielkopolski Związek Myśliwych

Nadleśń. państw. *Metzig*
Wiceprezes.

KOMUNIKAT

Państwowa Wytwórnia Prochu i Materjałów Kruszących, Zagożdżon (pow. Kozienice)

Pragnąc zapoznać szerszy ogół Panów Myśliwych z wyrabianym od szeregu lat prochem myśliwskim, dymnym, pozwala sobie przesłać pod adresem M. T. Ł. 1 skrzynkę prochu.

Proch ten uprzejmie prosimy podzielić pomiędzy Członków MTŁ.

Dążeniem naszym jest, aby każdy z Panów Myśliwych wiedział o istnieniu fabryki krajowej, będącej w stanie konkurować nietylko pod względem gatunku, lecz i ceny. Wytwórnia nasza jest w stanie pokryć całkowite zapotrzebowanie Rzeczypospolitej, przyczyniając się w ten sposób do zatrzymania pieniędzy w kraju, posyłanych dotychczas w wielkich sumach zagranicę.

Z poważaniem

Państw. Wytwórnia Prochu i Materjałów Kruszących Zagożdżon (pow. Kozienice).

Powyższe podajemy P. T. Członkom do wiadomości z tem, że próbki mogą odbierać w biurze M. T. Ł. ul. Ossolińskich 11 w godzinach od 9—1.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▐	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					▌15	■	■	15▐				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▐	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie i kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Z Drukarni Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4 - 32